

# Upał

Niektóre stare polskie filmy znakomicie antycypowały nasze czasy. Pamiętacie „Upał” Kazimierza Kutza albo „Hydrozagadkę” Andrzeja Kondratiuka? To dwie różne wizje tego samego kryzysu, który pojawił się w Polsce tego lata. Dwaj Starsi Panowie i nieustraszony As musieli stawić czoła deficytowi wody, czyli lokalnej wersji kryzysu klimatycznego. Co ciekawe, w obu przypadkach brak wody nie wynikał wyłącznie z przyczyn naturalnych.

Przekonujemy się właśnie co to w praktyce znaczy, że nasz kraj ma gorszy bilans wodny niż Egipt. Efektowne wysychanie Wisły w Warszawie, jest tylko czubkiem góry lodowej. W rzeczywistości bowiem wysychają całe połacie kraju, czego dowodem są problemy z zapatrzeniem w wodę w wielu mniejszych miastach. Deficyt wody ma konsekwencje daleko wykraczające poza dziedzinę krajowej hydrologii. W gruncie rzeczy podważa całą rządową wizję gospodarczej ekspansji, której istotnym elementem pozostaje wyciskanie wartości dodatkowej ze środowiska. Regulacja rzek, projekty przekształcenia ich w szlaki transportowe, ekspansja kopalnictwa odkrywkowego, a do tego masowa wycinka drzew były istotnymi znakami rozpoznawczymi strategii modernizacyjnej PiS. Okazuje się, że prowadzą koszty ekologiczne przewyższające wszelkie ewentualne korzyści ekonomiczne.

W takiej sytuacji rozwiązaniem nie jest deszcz, nawet wymodlony przez premiera. Trzeba po prostu zerwać z pewnym rozumieniem rozwoju opartym na modelu ekonomicznym, który za kryterium rozwoju bierze wzrost PKB bez uwzględnienia kosztów eksternalizowanych do środowiska. I nie chodzi tu tylko o takie konieczne posunięcia jak transformacja energetyczna, czy w równym stopniu niezbędne zerwanie z systemem komunikacyjnym opartym na samochodach osobowych i dostosowanej do nich infrastrukturze drogowej. Musimy uświadomić sobie, że nie ma technologicznych rozwiązań kryzysu klimatycznego. Jeśli chcemy przeciwdziałać jego przyczynom, a nie fiksować się na skutkach, to wcześniej czy później dochodzimy do wniosku, że problemem jest ekonomiczna formacja społeczeństwa oparta na zasadzie nieograniczonej akumulacji kapitału. Widać to już nie tylko z perspektywy globalnej, ale także w Skierniewicach.

Oczywiście trzeba porzucić pewne zwyczaje konsumpcyjne. Jeździć do pracy kolejką lub autobusem, nie jeść mięsa, ograniczyć używanie plastiku, zakręcać

kran przy myciu zębów, i robić mnóstwo innych słusznych rzeczy. Ale trzeba w końcu powiedzieć jasno, że żadne z nich nie powstrzyma kryzysu. Wegetarianizm jest OK, ale ekspansja przemysłu mięsnego i sektora zbożowohodowlanego, na które przypada ogromna część śladu węglowego ludzkości, wynika z logiki ekonomicznej, sprawiającej, że są one tak bardzo rentowne, a nie z popytu. Ten ostatni stanowi konsekwencję gigantycznej reklamy i faktycznego zawężania się możliwości wyboru opcji żywieniowych, szczególnie na globalnym Południu. Koniec z drinkami z plastikową słomką, jak najbardziej. Ale problemem jest przemysł opakowań i opłacana przezeń kultura jednorazowości.

Biorąc to wszystko pod uwagę warto przyjrzeć się opublikowanym niedawno wynikom dwóch badań. Pierwsze, przeprowadzone przez badaczy ze szwajcarskiego ETH w Zurychu wskazuje, że najlepszym sposobem na ograniczenie i zneutralizowanie efektów dotychczasowej emisji CO<sub>2</sub> jest posadzenie biliona drzew. Drugie, przygotowane przez zespół badaczy z Political Economy Research Institute przy University of Massachusetts konkluduje, że skrócenie czasu pracy o 10% zredukuje nasz ślad węglowy o 14,6%. A zatem jeśli skrócimy czas pracy o jeden dzień tygodniowo, ślad węglowy zmaleje o 36,6%.

W odróżnieniu od różnych skomplikowanych strategii walki z globalnym ociepleniem podsuwanych przez geoinżynierię, albo entuzjastów wykorzystania satelitów kosmicznych, te dwie wydają się banalnie proste i dosłownie w zasięgu ręki. Niestety, inaczej niż geoinżynieria nie dadzą zarobić korporacjom. Gorzej, gwarantują im straty - i to zarówno po stronie zysków, jak i wpływów politycznych. Ale właśnie w tym tkwi ich wielka wartość.

Ich urzeczywistnienie wymusiłoby nie tylko porzucenie pewnych szkodliwych praktyk ekonomicznych, ale także zmiany o charakterze systemowym. Zmiany prawdziwie rewolucyjne.

Sadzenie drzew oznacza koniec z przemysłem drzewnym masakrującym dziś Amazonię - i mającym swego rzecznika w prezydencie Brazylii - a także z plantacjami palmy olejowej, których ekspansja doprowadziła do wylesienia Borneo, a także z monokulturami soi, które doprowadziły do zmniejszenia upraw żywnościowych i wylesienia wielkich obszarów dziewiczych dżungli, do czego zachęciły, i co opłaciły gigantyczne dotacje do biopaliw zapewniane przez USA i UE. Z kolei skrócenie czasu pracy uderza w kulturę i strukturalne ramy społeczeństwa opartego na wyzysku i obsesji produktywizmu. Zarówno tego

dotyczącego ludzi jak i tego odnoszącego się do dóbr naturalnych. W gruncie rzeczy warunkiem realizacji obu pomysłów jest zmiana układu sił klasowych na korzyść pracowników. Praktycznie musiałaby ona polegać na dwóch równoległych transformacjach. Pierwsza wydaje się oczywista - to demokratyzacja zarządzania gospodarką. Druga - mniej oczywista - to reforma rolna na globalnym Południu. Demokracja ekonomiczna oznacza m.in., że w kwestiach klimatycznych, czy energetycznych nie będziemy już pytać o zdanie szefów spółek węglowych i naftowych korporacji, ale ludzi zmuszonych pracować w ich firmach lub mieszkać na obszarach gdzie operują. Reforma rolna pociągnie za sobą odejście od rolnictwa przemysłowego nastawionego na zysk generowany na globalnych rynkach, otwierając drogę dla rewitalizacji rolnictwa chłopskiego skoncentrowanego na wyżywieniu lokalnych społeczności oraz eksporcie nadwyżek.

Rola drzew i czasu pracy w ograniczeniu skali ocieplenia pokazuje, że sprawa klimatu nie da się zamknąć w żadnej niszy ekologicznej. Jest jak najbardziej polityczna. Bezpośrednio wiąże się z demokracją i walką klas. W obliczu kryzysu klimatycznego odzyskanie pierwszej i wygranie drugiej okazuje się naszym być albo nie być.